



# DODATEK LITERACKI

DO „DZIENNIKA WILEŃSKIEGO“.

## Poeta—Chłop—Wielkopolanin.

Te trzy wyrazy określają dobitnie stanowisko Kasprowicza w literaturze i życiu polskiem.

Przed Kasprowiczem ludowość w naszej literaturze była transponowana przez szlachtę, i życie wsi było widziane — nawet u Lenartowicza — z okien dworu; dopiero tu, u autora *Z chałupy* po raz pierwszy znajduje ono swój wyraz bezpośredni i najbardziej osobisty. Kasprowicz był w poezji tem, czem był w naszej muzyce Szopen, podnosił bowiem, wedle wyrażenia Norwida, „ludowe natchnienia do potęgi, przenikającej i ogarniającej ludzkość całą, podnosił ludowe do ludzkości, nie przez stosowanie zewnętrzne i koncesje formalne, ale przez wewnętrzny rozwój doskonałości“. To uznawał w Szopenie Norwid za „z a ś p i e w na sztukę narodową“, to w Kasprowiczu było pełnią narodowej sztuki. — Wzbogaca on literaturę i dużą polską pierwiastkami samorodnej kultury ludowej, tak mało dotąd aktywnej w całokształcie narodowego duchowego życia. Twórczość autora *Miłości* zasypuje tem samem przepaść, istniejącą pomiędzy warstwą szlachecko-inteligencją a ludem, przepaść, która była bodaj że głównem źródłem wszystkich bied naszych.

Nacisk też szczególny trzeba położyć na wielkopolskie pochodzenie Kasprowicza. Ta ziemia, która była kolebką naszego narodu wogóle i naszej pierwszej państwowości, do dziś dnia, wbrew pozorom, nie przestała być głównem

źródłem siły i twórczości narodowej. Dzisiejsza Polska demokratyczna, „podnosząca swe natchnienia do wyżyn ludzkości“, tu, w Wielkopolsce wyrosła, w kolebce, w której temu lat sześćdziesiąt kilka spoczywał Jan Kasprowicz.

Oto cechy zasadnicze, które niemal całkowicie definiują twórczość autora *Na wzgórzu śmierci*. Z formy liryk, pierwszy po Norwidzie przewycięża Kasprowicz romantyzm i wytycza drogi nowoczesnej poezji polskiej.

Człowiek a gromada, człowiek w obliczu Boga i przyrody, człowiek w narodzie — oto trzy oblicza twórczości poety, i trzy fazy rozwoju jego poezji.

Faza pierwsza rozpoczyna się jeszcze na szkolnej ławie poety w roku 1878 i trwa lat około dwudziestu. Tu Kasprowicz jest społecznikiem i przemawia w imieniu gromady, oraz tej ziemi, co go wydała.

Chaty rzędem na piaszczystych wzgórkach,  
Za chatami krępy sad  
wiśniowy —

oto tło jego twórczości młodzieńczej. W tym to czasie rzuca Kasprowicz hasło, które potem — częstokroć, niestety, nadużywane — szeroko zasłynęło:

Jest w ludzie siła niespożyta,  
Zbawienie leży pod siermięgą,  
Niby w popiele skra ukryta!

Na schyłku wieku XIX-go następuje okres, jeśli nie najwyższego, to najgłośniejszego i najbardziej płodnego rozwoju poety. Ze społecznika i socjalisty staje się Kasprowicz poetą —



S. p. Jan Kasprowicz.



indywidualistą. Sławny nader był swego czasu programowy wiersz Kasprowicza:

Byłeś mi niegdyś bożyszczem, o tłumie!

w którym poeta przestrzega swych rówieśnych przed zamienieniem indywidualnej duszy w tyglu społecznościowym, w służbie „krwawego Molocha”, — tłumy. Przyznaje, że w jego „duszy są potężne ognie”, ale wie, że ten „stracony, kto się od nich zajmie”. Niepospolita siła i ekspresja tego wiersza wyniosła Kasprowicza od razu na czoło współczesnej liryki polskiej.

W latach 1900 — 1905 powstają sławne hymny Kasprowicza: *Święty Boże, Moja pieśń wieczorna, Salve Regina* i inne, które tworzą główny zrąb sławy poety. Ich charakter religijny wprowadza literaturę polską na tory uniwersalizmu najgłębiej pojętego, pomimo to, że poezja Kasprowicza, ani na chwilę nie traci swego piętna rdzennie i do głębi polskiego. Słyszeć się tu dają echa Psalmów i skarg Hioba oraz naszych rodzinnych Trenów i Improwizacji Konrada. Wszystkie odwieczne pokłady cierpiącej i tęskniącej duszy ludzkiej znajdują swój wyraz w tej twórczej transpozycji współczesnej europejskiej psyche kulturalnej, przezszeptionej na płonące ludu polskiego.

I tu należy podkreślić jeszcze jedną cechę twórczości Kasprowicza. Oto jest to poezja człowieka dojrzałego, poezja prawdziwie męska. Przed autorem *Świętego Franciszka* tylko Kochanowski i Norwid z wielkich naszych poetów tworzyli w okresie zupełnej dojrzałości. Poza tymi pisarzami cała nasza poezja nosi cechę młodzieńczości. W naszym czasie Kasprowicz trzeci dołącza się do tamtych dwóch.

Błogosławiona niech będzie ta chwila,  
Kiedy się rodzi wieczorny hymn duszy,  
Kiedy na wieki — na wieki  
Gaśnie jej dzień...

Obok przerażających tonów buntu prometejskiego, zwątpienia i pesymizmu, przemożną jednak i niezachwianą jest wiara poety w Boga osobowego, Stwórcę i Kierownika świata. To też już w tym nawet okresie przewija się nic rezygnacji chrześcijańskiej, której wyraz znajdujemy n. p. w *Salve Regina*.

Nuta ta jednak dopiero w okresie trzecim staje się dominującą. W pierwszych dwu latach wielkiej wojny pisze poeta swą *Księgę Ubogich*, bezwzględnie najdoskonalsze swe dzieło. Doprowadza tu autor niemal do ostateczności prymitywizm w formie wiersza i wysłowienia. Umiłowanie przyrody i żony, oddanie i miłość Boga, wreszcie żarliwa troska patriotyczna — oto treść tej cudownej *Księgi*. Religijność poety tu dopiero staje się czystą formą katolicyzmu, którego istotą jest, że tak powiem, czynna rezygnacja, akt wiary najbardziej twórczy, który niczego się nie wyrzeka, bo wszystko znajduje w Bogu.

Przestałem się wadzić z Bogiem,  
Serdeczne to były zwady,  
Niedola ci ją zrodziła,  
Na którą już niemasz rady.

To też stwierdza poeta:

Wszakże nie wadząc się z Bogiem,  
Mam przedsię tę nadzieję,  
Że na dnie mojego spokoju,  
Żar świętej wojny tleje.

W *Księdze Ubogich* występuje jaskrawiej też, niż gdzieindziej w twórczości Kasprowicza, patriotyzm, który zresztą niewątpliwie przepaja całą jego poezję, o czym sam poeta mówi:

W mej pieśni bogatej, czy biednej,  
Przyzna mi kto, czy nie przyzna,  
Żyje, tak rzadka na wargach,  
Moja najdroższa Ojczyzna.

W roku ubiegłym wreszcie, pisze Kasprowicz ostatnią swą książkę *Mój Świat*, gdzie daje, nieporównane w swej postaci, obrazki z codziennego życia, otaczających go w Poroninie ludzi.

Do tytułu sławy poetyckiej dorzucić wreszcie należy znakomite przekłady Kasprowicza, n. p. z Ajschylosa, Sofoklesa, Szekspira, Shelleya, Keatsa, Yeatsa, d'Annunzia i t. d. Aby zaś zrozumieć sylwetkę duchową znakomitego pisarza, pamiętać należy, że bierze on czynny i wszechstronny udział w życiu kulturalnym i politycznym naszego społeczeństwa, wykładając przez długi szereg lat literaturę powszechną na Wszechnicy Lwowskiej i będąc tam Rektorem, oraz należy do najbardziej czynnych członków stronnictwa narodowo-demokratycznego.

U nas tu na Kresach Wschodnich jest on może najmniej znany, co niewątpliwie się tłumaczy tem, że forma polskiej kultury jest tu najmniej nowoczesna i wciąż jeszcze nawskroś szlachecka.

Stanisław Cywiński.

Karolizski.

## Przybyszewski o młodości Kasprowicza.

Kiedy się przejdzie rynek w Inowrocławiu, na którym przed pięciu laty jeszcze sterczał pomnik poległych w 1861 roku Kujawiaków — ohydna „Maryna”, jak tę brzechatą „Germanję” lud nazywał — skręca się na lewo, a potem już na prawo, idzie się prostą drogą do Szymborza. W lecie, kiedy jest sucho, droga od biedy znośna, ale niech Bóg broni na wiosnę, lub jesień: przepastne błoto, w którym szymborzanie szczeniaki topili, a koła wozów aż po osie grzęzły.

Jeszcze kawałek, może jakiś kilometr, a już widne gospodarstwa Posadzych, Habrów, Łodygów... kawałek jeszcze: na rogu karczma, a za nią obszerny plac, cały zapelniony brudną sadzawką, potworną w swym brudzie i kale, gdy ją letnie upały wysuszać jąły.

Na prawo od karczmy droga, wzdłuż której liczne zabudowania gospodarskie, a na samym brzegu dwupiętrowa, przez rząd pruski wybudowana szkoła może jedyny murowany budynek w Szymborzu, stanowił zawsze szczególny mój podziw — trochę dalej schludnie słomą poszyta — chałupa? — nie to już coś



w rodzaju dworku i siedziba nauczyciela szymborskiego, Dybały, alias Dybalskiego, który bardzo ważną rolę miał odegrać w życiu Kasprowicza.

Z Dybałą, teraz już Dybalskim, istniała aż do śmierci Dybalskiego między rodzicami moimi, a jego rodziną serdeczna i zażyła przyjaźń. Trochę było kiepskawo z niemieczyną Dybalskiego, więc czasami, a nieraz i parę razy na tydzień, przybiegał z Szymborza do Łojewa, by się ojca mego poradzić, jak ten lub ów raport, podanie lub rekurs napisać.

Tym razem przybył Dybalski ani z żadnym raportem, ani podaniem — był mocno zaaferowany, a nowy kaszkiet zafarbował mu spotniałe czoło czarną pręgą.

— Przyszedłem do kolegi po poradę.

— Cóż takiego?

— Mam ucznia w mojej szkole o tak zdumiewających zdolnościach, że Bógby mnie skarał, gdybym tego nie rozgłosił, bo nie można pozwolić, by taka zdolność miała się zmarnować.

I wyciągnął z kieszeni parę rysunków.

Widzę to wszystko, jakby się dziś działo.

— Niech kolega tylko spojrzy; ten żyd na tym obrazku, to ten, który co niedziela lata po wszystkich wsiach i wykrzykuje: skórki, skórki!

(Co niedziela pod jesień wybiegała z Inowrocławia chmara żydów i skupywała po okolicznych wsiach skórki zajęcze).

— Przecież w tej chwili go poznać — to Szmul Zadek!

— Istotnie! — potwierdził ojeiec.

— Albo tu, — ten szmaciarz, który odważa gałgan na swojej złodziejskiej wadze!

— Ale to nietylko to — ciągnął Dybalski — ten smarkacz wiersze pisze — podał ojcu kartkę papieru — a pamięć ma, bestja, taką, że raz przeczyta, to słowo w słowo na pamięć wyrecytuje.

Ojciec się zamyślił.

— Tak! to rzeczywiście niepospolity talent! Trzeba tu coś poradzić — pomoc — szkoda, by się taki chłopak zmarnował.

Odsunął od siebie książkę, w którą przed chwilą się wczytywał — z jaką łapezywością chwycił ją po odejściu ojca: Kraszewskiego: „Poeta i Świat” — „Trzeba pomóc... a po chwili:

— Wie kolega co — właśnie wrócił Józef Kościelski z Egiptu, czy też z Jerozolimy, slyszalem, że krok w krok idzie śladami Słowackiego, pełen jest szczytnych ideałów, trzeba mu to wszystko pokazać, z nim pogadać — odstrychnął się całkiem od okolicznej szlachty, uważają go tu za całkiem czerwonego...

To jedno jeszcze pamiętam, że poszli do starego gospodarza Słabeckiego z prośbą o furmankę i tego samego wieczoru ruszyli do Józefa Kościelskiego, który rezydował w bardzo pięknym pałacyku nad Gopłem — w Szarleju, ongiś warownym zamku, który Władysław Biały, książę „Szerlejo” zdobywał — (Józef Kościelski napisał dramat o tym księciu Szar-

lejo, pod tytułem „Władysław Biały”), a który Szwedzi podczas najazdu Wielkopolski doszczętnie zburzyli.

Jakim skutkiem wizyta mego ojca i Dybalskiego u Kościelskiego uwieńczoną została — nie wiem.

Stanisław Przybyszewski.

(Wyjęte z pamiętnika „Moi współczesni”).

## Ze wspomnień o Janie Kasprowiczu.

Miałem ten wielki zaszczyt i wielkie szczęście w życiu, iż byłem kolegą redakcyjnym Jana Kasprowicza, cieszyłem się Jego przyjaźnią i życzliwością.

Dlatego nie mogę oprzeć się pokusie, by skreślić słów parę na tle osobistych wspomnień i przeżyć z Janem Kasprowiczem.

W redakcji „Słowa Polskiego“ we Lwowie, którego byłem skromnym i młodocianym współpracownikiem, rozeszła się wieść, iż redaktor Zygmunt Wasilewski zaangażował Jana Kasprowicza, jako stałego współpracownika. Ze zrozumiałym wzruszeniem oczekiwaliśmy zjawienia się sławnego już wówczas poety.

Znałem, oczywiście, Jego utwory. Nie wiem dlaczego, wyobrażałem sobie Kasprowicza jako wysokiego, szczupłego młodzieńca o twarzy bladej, smutkiem przymglonych rysach.

Któregoś dnia w pokoju wspólnym współpracowników zjawia się redaktor Wasilewski. Roześmiany, rozbawiony, za nim kroczy jakaś postać mężczyzny krępego, o szerokich barach, potężnej głowie, rumianych policzkach.

— Panowie — oznajmia nam redaktor Wasilewski — proszę przyjąć do swojego grona naszego nowego współpracownika — Kasprowicze!

Nastąpiła ogólna prezentacja.

Z uścisku dłoni poznałem, iż nie mam do czynienia z „wymoczkim“.

Byłem wogóle zdziwiony, iż autor „Dies irae“ tak może wyglądać i tak może gnieść dłoń w uścisku.

Odtąd Kasprowicze regularnie zjawiał się w redakcji „Słowa Polskiego“ i zasiadał przy biurku we wspólnej sali współpracowników.

Prowadził dział „Z zaboru pruskiego“. Nie było to zadanie zbyt trudne.

Na biurku kładziono mu: „Dziennik Poznański“, „Dziennik Berliński“ i parę innych pism z zaboru pruskiego.

Robił z nich wycinki, sklejał je gumą oraz lakonicznymi uwagami własnymi, i t. zw. „tasiemiec“ szedł do drukarni.

Rzecz jasna, iż praca ta, pozornie łatwa, nie zadawała poety.

Orzeł-poeta w kieracie redakcyjnym nie mógł się czuć dobrze.

Któregoś dnia, gdy już sakramentalny „tasiemiec“ odszedł do drukarni, Kasprowicze podchodzi do mego biurka.



— A możebyśmy tak spróbowali się na palce?

Próba polegała na tem, iż przeciwnicy, wzniosłszy ramiona jak najwyżej, splatali dłonie plecami, starając się nawzajem przesilić.

Nie byłem „ułamkiem“ i nie chciałem kapitulować wobec Kasprowicza, tembardziej, iż miałem wobec niego preferans wzrostu.

Rozpoczęła się walka. Wkrótce leciały na podłogę biurka, krzesła, kałamarze.

Wybiegł ze swego gabinetu Wasilewski, wysunął się Jan Popławski. Wasilewski uspokajał, Popławski podniecał do walki.

— Nie daj się Kasprowicz!

Oczywiście w końcu uległem w walce.

Kasprowicz był człowiekiem atletycznej budowy ciała i niepospolitej siły fizycznej.

Budowa ciała krępa, szerokie bary, rozwinięte bicepsy, żelazne uda i łydy.

Na krótkim karku osadzona potężna czaszka, o wypukłych guzach czółowych, ocienionych „napoleońskim“ kosmykiem włosów. Włosy ciemno-kasztanowe, miękkie, jak u dziecka.

Oczy szaro-piwnie, wiecznie smutne, nawet wtedy, gdy z ust wytryskała kaskada dziecięco-szczerego śmiechu.

Siły fizyczne, któremi ta potężna budowa miała być wypełniona, szukały swego ujścia — stąd pasja Kasprowicza do prób na palce, której zresztą bliżsi znajomi unikali starannie.

Po paru tygodniach obcowania z Kasprowiczem w redakcji „Słowa Polskiego“ zrozumiałem, dlaczego wymarzony mój szablon poety nie odpowiada prawdziwej inkarnacji ducha poetyckiego Polski współczesnej.

Polska ówczesna, która już przeboleła żalobę powstańca i nabrzmiewała nowymi siłami, wcieliła się nie w smutnego, bladego młodzieńca, zamierającego potomka szlacheckiej lub arystokratycznej rodziny, ale właśnie w syna Ludu, w krwistego o atletycznej budowie, wielkiem sercu i potężnym mózgu — Syna Ziemi.

Gdy się widziało tę potężną postać, rozumiało się tę siłę żywiołu, która biła z Jego utworów.

Zaszczytem i szczęściem mego życia jest, iż znałem osobiście Jana Kasprowicza, że słyszałem Jego srebrzysto-szczery śmiech, że patrzyłem w wiecznie smutne Jego oczy.

Antoni Sadzewicz.

## Pierwszy drukowany wiersz Kasprowicza.

Tygodnik poznański „Lech“ był pierwszym pismem, które wydrukowało Kasprowicza. Było to w roku 1878, więc Kasprowicz miał lat 18. Wiersz nosił tytuł „Poranek“ i brzmiał następująco:

Noe już kona, już zrywa gwiazdzisty się wianek  
Jak kwiecie ginie z wiatrem, nikną gwiazdy  
w górze...

Znikły... Jedna na niebios błękitnym lazurze  
Rozsiała blask jutrzeńki — przeddniowy kaganek.

Patrząc w wodę, jak w lice kochanki —

kochanek —

Szczęśliwy! — przecież nie wie, że miłość różę  
Wnet zerwą i rozwieją wietrzyśka i burze...

Ach, cudny, choć zimowy, zawiął poranek...

Zgasła jutrznia, a słońce pośród zórz korali  
Stroi nagie drzew szczyty w tęczowane suknie,

Lub łamie swe promienie o kryształą fali...

Cicho wszędzie... Ni piosnki usłyszeć wśród  
sioła,  
Kra tylko, falą pchnięta o krę czasem huknie...  
Smutno... smutno... a jednak — jak pięknie  
dokoła... —

Był to „Lecha“ numer 5, z 2 lutego 1878. W odpowiedziach od redakcji znalazł Kasprowicz, który nadesłał razem z „Porankiem“ jeszcze parę utworów sonetów:

„Jan Kasprowicz w Szymborzu p. Inowrocław. Zdaje się, że Pan posiadasz jeszcze zamało wprawy i doświadczenia poetyckiego. Sonety są niezłe jako ćwiczenia, lecz nie tak doskonałe, aby je można drukować. Mimo to przytaczamy tu najlepszy z sonetów pod napisem „Poranek“.

## Stosunek Kasprowicza do muzyki.

Lat temu niespełna 30, gdy w pobliżu Żelaznych Wrót w Tatrach, zdarzyło mi się poznać przypadkiem Jana Kasprowicza. Wracał z jakiejś dłuższej wycieczki, przygnieciony — jak mi później opowiadał — potężnymi zmartwieniami i troskami. Szedł ciężkim, zmęczonym krokiem, śpiewając sobie jakąś ludową piosnkę, prawdopodobnie kujawską. Z poza małego zakrętu skalnego doleciały mnie słowa piosenki: „pomaluśku... pomaluśku...“ Istotnie — tam trzeba było iść „pomaluśku“. Dobrotliwie i przyjaźnie uśmiechnął się, gdy wśród rozmowy wyjąłem z kieszeni „Kostkę Napierskiego“, ulubioną mą wówczas lekturę, zapelniającą mi chwile odpoczynku wśród górskiej tułaczki, między wniebowziętymi wpatrywaniami się w cuda dzikiej górskiej architektury.

Od ludowej piosenki zaczęła się nasza znajomość, której styczne punkty leżały — dla mnie przynajmniej — w ciekawości poznania stosunku Kasprowicza-poety do muzyki... Umiłowanie pieśni ludowej towarzyszyło tej znajomości stale do ostatniego niemal roku życia wielkiego artysty. Nie widziałem początkowo, że Kasprowicz jest miłośnikiem muzyki. Tak mało bowiem „muzycznego“ pierwiastka w jego poezji... Ale doświadczenie uczy, że jest z tego muzycznego elementu nieraz bardzo wiele w poezjach pisarzy, których wrażliwość i inteligencja muzyczna pozostawia wiele do życzenia, a często jest pozorem, skombinowanym ze snobizmem.

Gdy później ujrzałem w mieszkaniu Kasprowicza fisharmonium, — właśnie fisharmonium, nie fortepjan, — stało mi się niejedno jasnym. A jeszcze lepiej rozumiałem rodzaj skłonności muzycznych Kasprowicza, gdy poznałem jego szczególne umiłowanie chorału,



pieśni religijnej, płynącej poważnie i majestatycznie. Wiemy, że suplikacja „Święty Boże“ dała mu podniecie do jednego z najwspanialszych poematów.

W późniejszych latach umiłował szczególnie melodię „Bogarodzicy“. Tę ostatnią musiałem mu wykonywać, ilekroć razy zdarzało się, żeśmy byli sami, lub w towarzystwie najbliższych. Opracowałem ją in modo antiko, według stylu starych klasyków muzyki kościelnej. Nie mógł mieć jej nigdy dosyć. Powtarzać musiałem „Bogarodzicę“ po wielokroć razy. Tak było jeszcze przed rokiem, gdy w gronie brzdękowych przyjaciół odwiedziłem go na jego „Harendzie“ w pobliżu Poronina. (Bywał tam również Karol Szymanowski, muzyczny piewca Kasprowiczowskiego „Święty Boże“). Obiecywaliśmy sobie, że po zupełnym powrocie do zdrowia, poczynimy starania u władz kościelnych, by mocą swego autorytetu przywrócić śpiewanie prastarej melodii grunwaldzkiej. Niestety... w staraniach tych ubędzie autorytet osobisty wielkiego wieszca narodowego. Wiem, że działanie tej melodii na Kasprowicza było conajmniej bardzo silne. O ile mnie pamięć nie myli, już dawniej była mowa o poetyckiej parafrazie tekstu. Po każdym wysłuchaniu melodii tej zapanowywała chwila skupienia i surowej powagi, wyciskającej jeszcze większe piętno nawet na tak zawsze skupionem i surowem obliczu poety. W przeszłym roku, po kilkakrotnem wysłuchaniu „Bogarodzicy“, rzekł cichym głosem: „Wystarczy za nabożeństwo“. A te słowa wraz z wieloma, wieloma szczegółami innej kategorii, znanymi też biografom, świadczą o głęboko religijnym umyśle potężnego twórcy „Hymnów“.

Nie zdziwimy się wobec umiłowania poważnej pieśni religijnej przez Kasprowicza, że żywił szczególny szacunek dla chorałów Bacha. Nie był mu obcym i Wagner, jak się już dawno przekonałem. Zachwycały go wyjątki z

„Pierścienia Nibelungów“. Na kilka lat przed r. 1914 był — o ile mnie pamięć nie myli — w Monachjum, gdzie miał sposobność uczęszczania na wagnerowski cykl. Wogóle pociągała go ta muzyka artystyczna, która odznaczała się majestatyczną powagą i głębią. Jakżeż to zgodne z całokształtem i ogólnym tonem jego poetyckiego dzieła. Zbytecznym chyba byłoby tu wspominać o jego sentymencie dla Chopina.

Ale towarzyszką, niemal codzienną, była mu pieśń ludowa: kujawska i podhalańska. W gronie najbliższych przyjaciół bywał szczerym w śpiewaniu ulubionych swych piosenek, zawsze wykonywanych in tempo rubato, przepojonych prawdziwie polskim „żalem“, tym ciężkim oddechem, wyrażającym najgłębszą treść i najgłębszy sens tekstów pozornie obojętnych i „objektywnych“. Wpadał niekiedy w ton, który był czemś pośrednim między śpiewem a śpiewną mową. Był to jakby moment ulgi przy bolesnych wspomnieniach „starodawnych czasów“ (jak mówi góralska piosenka) niepowrotnych chwil.

Jednak żadne łzawe i sentymentalne piosenki nie wzruszały go. „Nie cierpię łez“ — oto znane jego credo. Nie cierpiał ich, bo krył ich w sobie więcej, niż człowiek ukryć jest w stanie.

A gdy już spocznie na „Pęksowym brzyku“ (stary cmentarz w Zakopanem), gdy już zamkną się żelazne wrota jego grobowca, znówu pieśń ludowa owionie jego miejsce wiecznego spoczynku. Wraz z szumem wiatru, wiejącego od Lodowego, doleci go pieśń pasterza, którą swe życie rozpoczynał, uderzą o jego grobowiec potężne suplikacje „Święty Boże“ w starym kościółku zakopiańskim śpiewane. Ilekroć zaś razy zapłonie „kamienna Tatr korona“, wspominać będziemy na „Anioł Pański“ imię wielkiego „Syna Ziemi“.

Adolf Chybiński.

Hrebenów — w sierpniu.

## Jak pan Hilary dobra ziemskie kupował.

(Niby humoreska).

Pan Hilary już przy urodzeniu to miał nieszczęście, że zamiast tradycyjnych trzech dobrych wrózek, nad kołyską jego stało aż dziewięć muz, które ze swym wodzem, boskim Apolinem, mimo szalonej śnieżnej zadymki, przybyły ze słonecznej Hellady, wprost z Parnasu czy innego Olimpu, złożyć niemowlęciu na drogę życiową swe dary. Że prócz ambrozji i nektaru i co tam jeszcze we zwyczaju jest u nieśmiertelnych, wśród podarków nie było obiektów bardziej realnych, jakimi zwykli interesować się komornicy i egzekutorowie podatków, każdy się łatwo domysli, kto zna obyczaje bóstw mitologicznych, dziwnie pod tym względem podobnych do świętych tureckich.

Ledwo mały Hilarcio odrósł nieco od ziemi, alifci parnaskie dary poczęły w nim w prerażający wprost sposób objawiać się: Węgłem na ścianie, ołówkiem na marginesach

szkolnych kajetów niestrudzenie smarował „lanszafty“, układał wierszyki, śpiewał jak ta ptaszyna, grał na grzebieniu, na harmonijce, na skrzypkach, które sam sobie wystrugał, wogóle na każdym dostępnym mu instrumencie. Odkąd zaś po raz pierwszy za podarowanym biletem trafił do teatru, na paradyż, nie było już z nim rady. Z prześcieradeł, które przedziwnie imitują rzymskie togi, z ręczników, pokrowców, ze wszelkiej męskiej i damskiej garderoby, jaka się znalazła w domu, kombinował historyczne kostiumy, zbierał kolegów, organizował amatorskie przedstawienia, do których sam zwykle tekst komponował.

Że przy tak licznych i wybitnych talentach (a raczej niewybitnych, bo ich ani różgą, ani batem nie można wybić... z głowy), Hilarek na naukę nie miał absolutnie czasu — łatwo zrozumieć. To też gdy z którejś tam



klasy wydalono go jako absolutnie niezdatnego, biedny ojciec, wyraziwszy i wraziwszy synowi swą troskę rodzicielską i niezadowolenie w sposób i w miejscu przez tradycję zarówno jak przez naturę ku temu specjalnie predestynowaniem, postanowił oddać go „do terminu“ do znajomego artysty malarza, pocieszając się tem, że „choć Matejką ani Siemiradzkim nie będzie, to przynajmniej malowaniem szyldów uczciwie na chleb powszedni zarobi“.

Pod kierunkiem rozumnego i prawdziwie utalentowanego mistrza, Hilarek robił nadspodziewane postępy, to też chociaż pod względem techniki dużo jeszcze mu brakowało (co zresztą u początkującego było całkiem zrozumiałem) tyle wkładał w swe prace szczerego zapału, tyle odczucia, że mu nauczyciel najpiękniejszą rokował przyszłość.

Jakoż po kilku latach już, pierwszy przyjęty na wystawę obraz — pełen sentymentu widoczek z nad Wilji — przyniósł panu Hilaremu oprócz ogólnego uznania i jakiegoś tam dyplomu, bardziej realną nagrodę w postaci trzystu rubli wypłaconych za obraz przez pewnego bogatego mecenasa i protektora młodych talentów. Jak już sama cena kupna obrazu, wyrażona w rublach, świadczy, były to jeszcze czasy, gdy nieznano paskarzów i nouveaurichów, i kiedy pieniądze znajdowały się w rękach, które niekiedy umiały z nich zrobić rozumny użytek.

Nauczyciel młodego p. Hilarego, winszując mu z całego serca zasłużonego sukcesu, doradzał, aby tej na owe czasy dość znacznej sumy użył na podróż do Paryża lub Włoch, celem doksztalcenia. Uczeń przyjął tę radę doświadczonego mistrza z wdzięcznością, postanowił zastosować się do niej w zupełności i już wszelkie niezbędne przygotowania zostały zakończone: paszport zagraniczny od opiekuńczej władzy uzyskany, walizka z ubogą chudobą artysty spakowana, gdy niespodzianie zaszedł wypadek, który z gruntu zmienił sytuację: pan Hilary ożenił się; pojął dziewczę „jak malina“, oczywiście z głębokiej, szczerzej, gorącej miłości, co wyrażone w prozie życiowej pospolicie oznacza... bez posagu.

Stare, angielskie przysłowie twierdzi, że „ten, co żeni się z miłości, miewa noc wesołą ale dni smutne“. Dyskrecja nie pozwala nam zajrzeć za alkowianą kotarę, jakie tam noce spędzał p. Hilary ze swą niebogą, to jednak pewne i to każdy poświadczy, kto, jak niżej podpisany, znał go osobiście, że dni miał bardzo smutne, a był tych dni szereg niezmiernie długi i jednostajny, coś jakgdyby szara jesień nasza, która nastąpiła tuż, bezpośrednio, po pierwszym przebłyску wiosennej pogody. Bez kwiecica majowego, bez skwarne go, letniego południa, falującego złotem dojrzałych plonów.

Przeznaczone pierwotnie na podróż zagraniczną trzysta rubli poszły na pierwsze, niezbędne potrzeby młodej pary, która już w dwa coś tygodnie po ślubie znalazła się w położeniu słusznie tak nazwanem „krytycznem“, jako że ludzie bez grosza każdy rad krytykować, nikt natomiast dopomóżdź niechce. Tak jest dziś, taksamo było za „dobrych“, przedwojennych

czasów, a jeżeli się wtedy znalazł mecenas, kupujący przeważnie za bezcen obrazy młodych, początkujących malarzy, był to niesłychanie rzadki wypadek, — *rara avis* — na który po raz drugi liczyć znacząco byliby dobrowolnie śmierć głodową wybrać. P. Hilary tej ewentualności najmniej pragnął, jako że jemu, z urodzenia optymiście, jeszcze się życie przy boku młodej i ładnej żoneczki uśmiechało. Tam i sam rzucając się, zbijając nadaremnie różne wysokie i niskie progi, przypomniawszy sobie nareszcie radę swego świętej pamięci rodzica i wziął się do szyldów.

Niestety i tu spotkał się z nieprzewidzianą przeszkodą pod postacią konkurencji żydków, którzy malowali szyldy poniżej kosztów własnych: farby i płótna... zarabiając przytem wcale dobrze, podczas gdy p. Hilary, jeżeli nie dokładał do pracy swej z kieszeni, to tylko zawdzięczając tej okoliczności, że w kieszeni tej same były dziury, których skądinąd pilna i gospodarna pani Hilarowa zaszyć nie chciała, twierdząc z melancholijnym uśmiechem że to wcale zbyteczne.

Ponieważ jednak „Pan Bóg łaskaw na Mazury“, udało się panu Hilaremu coś po roku przymusowej, głodowej kuracji (za którą tłuszciochy grube płacą pieniądze, a która chude szom darmo się daje), przy pomocy dobrych ludzi uzyskać miejsce nauczyciela rysunków przy szkole rzemieślniczej.

Skosztowawszy głodu, nędzy i poniewierki pan Hilary już nie brykał, jeno wprzągłszy się w kierat życiowy, pokornie dreptał dookoła, z roku na rok, lata całe ucząc zasmolonych, niesfornych, pełnych złośliwych figlów wyrostków, początków szlachetnej sztuki rysowania: linii, trójkątu, kwadratu, koła. Za to wracając zdenerwowany, przemęczony, z bólem głowy do domu, zastawał w żłobie coś lepszego niż siano, a nawet owies, bo talerz pożywnej zupy, raz ziemniaczanej, to znowu z pęczakiem, niekiedy, od święta, przy kości ochłap mięsa i kiełiszek „monopolówki“.

P. Hilary ani smakoszem ani obzartuchem nie był, więc mu to w zupełności wystarczało. Poza domem rozrywki nie szukał, w kinie nigdy nie bywał, owszem, nienawidził je, prawdopodobnie dla tego, iż w liczbie muz, które niegdyś stały nad jego kołyską, nie było jeszcze tej — dziesiątej. Mając nieco wolnego czasu, p. Hilary zwykł brać kawałek papieru, na którym kredkami pastelowymi lub dla odmiany akwarelą szkicował wciąż jeden i ten sam motyw, w tysiącznych odmianach: tak jest: dworek wiejski z gankiem na białych słupkach, w cieniu lip zielonych, rozkwitłe krzewy bzów i jażminów, przed oknami róże, a w dali błękitna wstęga Wilji.

Jeżeli mu się szkicek wyjątkowo udał, zwykł przywoływać żonę, której go pokazywał, niby w wielkim sekrecie, wynurzając się półszeptem z najszybszych swych pragnień i tęsknoty: „Żeby nam też kiedyś, Zosiu, taki dworek: usiedli byśmy sobie w ganku, kwiaty by nam pachnęły, na lipie ptaszek śpiewał, od pół szedł by cichy poszum falującej, aksamitnej runi, wśród szmaragdowej łąki stoi zaduma-



ny, na jednej nodze, bociek, niebo takie błękitne, a tu, patrz samotna chmurka, rozwinęła swój zagiel biały, zdaje się płynąć w kraj słoneczny wiecznej szczęśliwości."

Pani Zosia cierpliwie słuchała, po raz tysięczny może, tych samych zawsze wylewów, mileząco potakując głową, z tym smutnym uśmiechem, który w ciągu lat przyrósł do jej ust. Wtedy jego coś za gardło chwyciło, więc cichszym jeszcze szeptem dodawał: „Nie gniewaj się, rozumiem, że to wszystko mrzonki, ale wszak wiesz, kogo na świecie słowikiem stworzono, ten śpiewać już musi“. Poczem składał swój szkic do szuflady, i nagle zestały, przygarbiony, szedł do zwykłej pracy.

A w kilka dni, lub tygodni potem, mało-wał ten sam dworek, pokryty śniegiem, dookoła nagie drzew konary, dalej biała równina, po której kula sobie śnieżna wichura.

„Patrz, żonuś, jaka zadymka, w oknie świeci się czerwono, to wewnątrz, na kominku drewna płoną, a przed tym kominkiem siedzimy we dwoje“ ...

\*     \*     \*

A teraz, szanowni czytelnicy, wybaczenie, jeżeli opowiem wam coś bardzo nieprawdopodobnego. Ale przecie „chodzą wypadki po ludziach, rzeczy nieprawdopodobne zdarzają się, choćby dla tego, że bez nich życie byłoby zbyt monotonne. Pewnego tedy pięknego dnia — było to już po wojnie — pan Hilary, który tak samo wciąż uczył rysunku młodzież rzemieślnicza, obecnie już w szkole polskiej, niespodzianie za pośrednictwem polskiego konsula w Chicago czy Newyorku otrzymał wiadomość o spadku po jakimś stryju w Ameryce.

Tu muszę zaryzykować drugie, jeszcze większe nieprawdopodobieństwo: spadek bynajmniej nie był miljonowy, co jest tem dziwniejsze, że w Ameryce przecie sami mieszkają milionerzy i miliardery; bądź co bądź była to jednak okrągła sumka dziesięciu tysięcy dolarów, które p. Hilary, otrzymawszy je w gotówce, jako dobry patriota natychmiast zamienił na polską walutę.

Miljony, miliony! Tęższa od pana Hilarego zawróciłaby się głowa. Nareszcie ujrzał się u celu swych najskrytszych, niedościgłych marzeń. Wziął się do dzieła z młodzieńczym zapalem: zaraz dnia następnego w miejscowym dzienniku ukazało się ogłoszenie „Poszukuję kupna i t. d.“. Chmara żydków i innych, podejrzanych figur z pod ciemnej gwiazdy, zajmujących się zawodowo i niezawodowo wszelkiego rodzaju stręczycielstwem, zwąchawszy dobry interes, dzień i noc oblegała wprost skromne mieszkanko kandydata na obywatela ziemskiego. On zaś, to autem, to skromniej, na drabiniastym, chłopskim wózku, objeżdżał bliższe i dalsze okolice, wypatrując odpowiedniego obiektu. Podąż ziemi była na onczas bardzo znaczna: tu wychwalano mu rodzaj gleby pszenicznej, tam wysoką kulturę, tam las towarowy, co go wszystko bardzo mało obchodziło, gdyż on miał w głowie i w sercu swój ideał, przez tyle lat wypieszczony i od tego odstąpić nie chciał... nie mógł.

Nareszcie znalazł. Targu dobito bardzo

prędko, niestety, gdy przyszło do wypłaty, okazało się, iż waluta polska, w której trzymał swe pieniądze, o tyle upadła, iż nie wystarczało na opłacenie połowy nawet ceny kupna.

Pan Hilary nie upadł na duchu, tylko obniżył znacznie poziom swych wymagań i znowu począł niestrudzenie szukać, już nie majątku, ale bodaj skromnego folwarczku lub zaścianka. Jakoż znalazł starą ruderkę: był to młynek nad strumykiem, doszczętnie zrujnowany, przytem jakieś kilkanaście hektarów piaszczu. Właściciel zapewniał, że z małym nakładem można młyn odrestaurować, poczem będzie on bajeczne przynosić zyski. Było to oczywiście wierutnem kłamstwem, ale pana Hilarego obchodziło przedewszystkiem, jak woda strumyka, spadając na nawpół zgnię i przewrócone koło młyńskie, zdawała się rozplatać swe srebrne warkocze, co zwłaszcza w nocy, przy świetle księżyca, bajeczne musiało tworzyć efekty.

☐ Niestety, gdy już miał wypłacać umówioną sumę, okazało się, iż polska waluta i t. d., i t. d.

Pan Hilary i na ten raz nie zdesperował, jeno bardziej jeszcze obniżywszy poziom swych wymagań, postanowił zadowolnić się skromnym domkiem na przedmieściu, naturalnie z małym chociażby ogródkiem i byłby niewątpliwie szczęśliwy zamieszkał pod własnym dachem, gdyby nie ta nieszczęsna waluta, która po raz trzeci... i t. d., i t. d.

Na ten raz pan Hilary wrócił od regenta prawdziwie zgryziony, odbył dłuższą naradę z żoną, coś jej gorąco przekładał, ona na razie zdawała się żywo protestować, potem cichem skinieniem głowy zgodziła się ze zwykłym swym smutnym uśmiechem. W rezultacie powyższej rodzinnej narady, pan Hilary udał się niezwłocznie do miejscowego proboszcza, gdzie dokonana została tranzakcja, mocą której stał się wyłącznym posiadicielem kilku sążni kwadratowych najżyźniejszej ziemi, w najbardziej malowniczym zakątku... miejscowego cmentarza.

Za pozostałe pieniądze ogroził sztachetem swoją habendę, zawezwawszy majstra kazał wymurować dwa grobowe sklepienia, jedno dla żony, drugie dla siebie, dookoła zasadził róże, własnoręcznie zrobił ławkę z darniny, na której każdej niedzieli zasiadała sędziwa para, słuchając świergotu ptasząt, polewając i pielęgnując swe kwiatki.

Aż stało się, iż pani Zofja, przeziębivszy się widocznie, dostała zapalenia płuc, i cicho, jak żyła, odeszła w zaświaty. Ciało jej spoczęło głęboko, w piwnicznym dole, a nad niem kwitły róże, kwitły modre niezapominajki, które własną sadziła ręka, pieściła i polewała. Biedaczynko pan Hilary, niepokieszony runął na grób żony, obejmując go rękami. Przemocą oderwali go przyjaciele i zaprowadzili do pustego, ach tak strasznie pustego mieszkania.

Na zajutrz nie było już kto by go powstrzymał, więc po niespanej nocy, ze świtem zerwał się na równe nogi i pośpieszył na ukochaną mogiłę, gdzie spędził dzień cały do nocy. Ponieważ w tym czasie przeszedł na emeryturę, więc czasu miał poddostatkiem oddawać się



swjej żalobie. Jakoż co rana widziano go, jak wzięwszy kromkę chleba do kieszeni i butelkę dla ugaznienia pragnienia, szedł na cmentarz, tam siadał na ławie z darniny, i trwał tak długie godziny, czasem sadził i pielęgnował kwiaty, wyrwał chwasty, to znowu coś przemawiał, niewiadomo czy do zmarłej czy do siebie. Wieczorem, gdy zamykano bramy cmentarne, wracał do domu, zgarbiony, pokorny, by dnia następnego, od rana zająć swe zwykle miejsce na ławce z darniny. Stróż cmentarny przywykli już do tego widoku, tylko spoglądając na starca zdaleka, czasem porozumiewawczo palcem po łbie sobie pukali, lub dla odmiany zakreślali kółko.

Tak minęło lat kilka; pewnego wiosennego wieczoru, gdy już na Anioł Pański przedzwoniono, stróż cmentarny zbliżył się do siedzącego nieruchomo p. Hilarego, by mu przypomnieć, że pora wracać do domu, gdyż brama wnet zostanie zamknięta. Ku przerażeniu swemu zastał go sztywnym i chłodnym. Przywołany lekarz stwierdził aneuryzm serca.

Ponieważ zakupując sobie miejsce na cmentarzu p. Hilary złożył jednocześnie proboszczowi odpowiednią sumkę na skromny, ale przyzwoity pochówek, więc nie było z tem najmniejszego kłopotu. Na pogrzeb przybyła spora garść dawnych przyjaciół i znajomych, którzy na własnych barkach przenieśli trumnę z cmentarnej kaplicy na miejsce wiecznego spoczynku. Grabarz, który w tym wypadku łatwe miał zadanie, jał właśnie dobierać kluca do drzwi dębowych, któremi przymknięte było grobowe sklepienie, zgrzytnęły zardzewiałe zawiasy, ksiądz właśnie zaintonował „et porta inferi“, gdy zebrany ukazał się zgoła niespodziany i niezwykły widok: oto całe wnętrze sklepionego dołu wypełnione było po brzegi — pustymi butelkami, które p. Hilary po dokładnem wypróżnieniu, zwykł był co wieczora tu wrzucać.

Nie było rady: ksiądz nakazał grabarzom wypróżnić tak sprofanowany grób, poczem sam dyskretnie się odwrócił. Nastąpiła chwila pełna kłopotliwego mileżenia, aż naraz ktoś z obecnych, widocznie weselszego od innych usposobienia, ozwał się półgłosem: „szkoda, że niema ani jednej pełnej... uczciłibyśmy godnie pamięć nieboszczyka“.

Na to w odpowiedzi grabarz: „mądra rada, panoczku, ale cóż, kiedy wszystkie puste. Nieboszczyk nie zostawił ani kropelki“.

Jan Obst.

## Święty Boże, Święty Mocny!...

List sędziwej patryjotki.

Z ostatnich listów niedawno zmarłej ś. p. Marji Świdorskiej, wielkiej patryjotki i literatki publikujemy jeden list do córki, Aliny z 15-go maja b. r., pisany bezpośrednio po krwawych wypadkach majowych, a ujmujący głębia pa-

trjotycznego przeżycia i bólu, rodzącego się pod wpływem tragicznych faktów u tej sędziwej i szlachetnej niewiasty i działaczki społecznej.

15 maja.

Stało się nieszczęście i niegodziwość gorsza, niż wszystko, co można było przewidzieć... W „najlepszym“ (t. j. jakim?) razie, skutki straszliwe pozostaną na długo, na zawsze chyba, o ile kraj nie zginie natychmiast, a idzie gwałtownie ku temu. Nie mam słów na wyrażenie mej rozpacz, a cierpię tak, iż nie wyobrażałam sobie męki podobnej. Wydaje mi się, że serce, czy głowa mi pęknie i czemu ja dożyłam tej chwili?... Niknie gorzki o Ciebie i los Twój niepokój wobec ginącej Ojczyzny, bo oni ją zamordują, widzę tylko okropną, czarną, krwawą otchłań przed nami. Jeśli Bóg nas znowu cudem nie ocali, to ludzkich środków niema, gdy narodu duch zatruty. Błagajmy o ratunek stamtąd... Święty Boże, święty Mocny, święty Nieśmiertelny!... Przed oczy Twoje Panie... Inaczej oszaleć można. Łączmy się Alinko moja, bólem i modlitwą, bo słowa nadziei ja, nieszczęsna, nie mogę wyrzec i wolę nie pisać. A żyję, jak widzisz i jeszcze nie oszalałam.

Dziwne, że słowa z duszy na strzępki poszarpanej drobnymi, cichymi literkami skreślić można, a ja cała dygocę i zębami dzwonię, choć upał na dworze, Tysiące pogłosek, plotek kłamliwych w powietrzu kraży; gwizdzą fałszywie syreny, głuszac hejnał majowy z wieży, słyhać znów muzykę i okrzyki pochodów. — A ja snuję się jak we śnie, ruszam się nawpół przytomna jak mara. Nocą zmory lub bezsenność żalosna. I żyje człowiek mimo wszystko, żyje bez końca...

Módl się za Ojczyznę i za Twoją biedną —  
M.

## LUCYFER.

*Słońce, mój wróg słońce  
Wschodzi, wielbiąc Boga!*

T. Miciński.

...I oto znów przed sobą stoicie oboje;  
Odgrywa się akt nowy tragedji odwiecznej:  
Ona się cała pławi w ulewie słonecznej,  
Ty — groźnie marszczysz ciemne, posępne brwi swoje.  
Poza tobą są drogi, z których się nie wraca,  
A kędys kres samotny i pełen rozpacz,  
Przed nią fala zbożowa szlak jej blaskiem znaczy,  
I radością brzemienią jej codzienna praca.

Bóg nadał jej swe prawo — i w czasów poźodze  
Ono rośnie serc kłoci uzgodnionem tętmem,  
Daremnie tedy pragniesz żądaniem namiętnem  
Zatrzymać ją swem veto w jej dziejowej drodze.

I napróżno gwałtownie chciałbyś jej oblicze  
Skazić i swem ponurem wykrzywić spojrzeniem —  
Ona jeno przed słońcem łono tajemnicze  
Swe odślania — i gardzi Lucyfera cieniem.

STANISŁAW CYWIŃSKI.